

Bałtyk jako "dobro publiczne"

Zły stan Morza Bałtyckiego jest przedmiotem troski już co najmniej od kilkudziesięciu lat. Wiele osób martwi się zamykanymi plażami, albo mętną wodą przy brzegu. Ale są również i tacy, którzy interesują się obszarami położonymi z dala od brzegu, niewidocznymi z lądu. A stan morza rzeczywiście wzbudza niepokój. Jego eutrofizacja (*Aura 5/2014*) doprowadziła do nierównowagi pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym. Produkcja roślinna jest tak wysoka, że zasiedlające Bałtyk zwierzęta nie są w stanie jej spożyć. Nie zjedzone glony obumierają, a rozkładając się zużywają tlen, którego brakuje dla innych form życia. W rezultacie wiele gatunków znika, a te, które zostają występują w ilościach zbyt niskich jak na nadmierną produkcję roślinną i kółko się zamyka.

Problemu nie rozwiąże uporządkowanie własnych plaż. Toksyczne osady gnane ku brzegom wraz z falami mogą powstawać na pełnym morzu. Jego zaś stan zależy od tego, co się dzieje w całym zlewisku. Dzięki wieloletnim badaniom, możemy dość dokładnie analizować bilanse azotu i fosforu – dwóch głównych "nutrientów" – odpowiedzialnych za eutrofizację morza. Ich największe stężenia występują w okolicy ujścia Wisły, w Zatoce Ryskiej i w Zatoce Fińskiej. Ale wymiana wody morskiej sprawia, że każdy fragment morza jest zależny od tego, co się dzieje w każdym innym.

Tak więc żaden kraj pojedynczo nie mógłby rozwiązać problemu. Co gorsza, lokalne rozwiązanie problemu może zaszkodzić gdzie indziej. Najbardziej drastycznym przykładem jest hipotetyczne oczyszczenie Zatoki Ryskiej. Póki co, jest ona silnie skażona na skutek nadmiernej obecności azotu i fosforu. Produkcja roślinna jest znacznie większa, niż morskie zwierzęta są w stanie wykorzystać i w konsekwencji cały zbiornik pełni funkcję gigantycznego naczynia, w którym oba "nutrienty" krążą wewnątrz, stanowiąc utrapienie dla mieszkańców Łotwy, i tylko w małym stopniu przedostają się do Bałtyku właściwego. Gdyby udało się Zatokę Ryską oczyścić, to – według symulacji – odpływ azotu do Bałtyku właściwego uległby zwiększeniu, ponieważ lokalne ekosystemy wykorzystywałyby go w znacznie mniejszym stopniu. A skoro to azot jest w Bałtyku właściwym czynnikiem ograniczającym produkcję roślinną, zakwity glonów stałyby się tam intensywniejsze.

Przykład ten nie może służyć argumentacji, że Zatokę Ryską należy "poświęcić" dla dobra reszty morza. Pokazuje tylko, że na Bałtyk trzeba patrzeć całościowo, bo jego poprawa wymaga podejmowania wysiłków skoordynowanych i w skali, która nie musi się wydawać lokalnie uzasadniona.

Od wielu lat podejmowano starania o ochronę Bałtyku. W 1973 r. zawarto Konwencję Gdańską o ochronie żywych zasobów Morza Bałtyckiego. Powołano Międzynarodową Komisję Rybołówstwa Morza Bałtyckiego, z siedzibą w Warszawie, która miała ustalać limity połowów. Szybko jednak zorientowano się, że stan morza zależy nie tyle od rybaków, co od działań podejmowanych na lądzie. W 1974 r. zawarto Konwencję Helsińską o ochronie środowiska morskiego obszaru Morza Bałtyckiego, gruntownie znowelizowaną w 1992 r. Jej organ wykonawczy nosi nazwę Komisji Helsińskiej (*Helcom*) i inicjuje coraz to nowe programy mające na celu poprawę stanu morza. W przeciwieństwie do Gdańskiej, Konwencja Helsińska stara się regulować działania lądowe, od których przecież głównie zależy ochrona Bałtyku.

Działania Komisji Helsińskiej podejmowane są na rzecz całego Bałtyku, ale sygnatariusze Konwencji są niezależnymi podmiotami. Tak więc decyzje muszą być zgodne z wolą każdego

z nich. Z tego względu postęp dokonuje się bardzo powoli, znacznie wolniej niż w ramach Konwencji Genewskiej o transgranicznym zanieczyszczeniu powietrza na dalekie odległości. Jest to zapewne spowodowane faktem, iż skutki zanieczyszczenia powietrza były łatwiej widoczne, podczas gdy skutki eutrofizacji Bałtyku wielu osobom wydają się mniej dotkliwe.

Niska skuteczność Konwencji Helsińskiej nie oznacza, że nie udało się jej odnotować żadnych sukcesów. Przede wszystkim dopływ "nutrientów" do Bałtyku został ograniczony. Wprawdzie skala poprawy nie jest spektakularna, ale jest. Ponadto Komisji Helsińskiej udało się doprowadzić do zmniejszenia zrzutów wielu substancji toksycznych. Syntetycznym wskaźnikiem tej poprawy jest ponad dwukrotny spadek zawartości dioksyn w jajach nurzyka zwyczajnego (*Uria aalge*), zmniejszenie skażenia produktami rozpadu DDT, metalami ciężkimi, i inne podobne trendy.

Ograniczanie zużycia DDT i metali ciężkich jest stosunkowo łatwe do podejmowania, ponieważ każdy rząd ma świadomość tego, że owe substancje bezpośrednio szkodzą jego obywatelom, albo przyrodzie znajdującej się na jego terytorium. Inaczej z "nutrientami" jako czynnikami eutrofizacji. Ochrona Bałtyku jest – w żargonie ekonomistów – dobrem publicznym. Dobra takie charakteryzują się niewykluczalnością i niekonkurencyjnością (*Aura* 12/09). Społecznie uzasadniona skala ich dostarczenia jest większa niżby to wynikało z preferencji każdego z użytkowników z osobna. Jednocześnie nikt nie kwapi się partycypować w kosztach ich dostarczenia, licząc na to, że zapłaci ktoś inny, a ten co nie zapłacił i tak nie będzie mógł być wykluczony z grona beneficjentów. Na ochronie Bałtyku każdy by skorzystał, ale nikt nie chce się wrywać z pieniędzmi, bo a nuż zrobi to ktoś inny. W rezultacie sygnatariusze Konwencji Helsińskiej kontemplują coraz to doskonalsze programy działania, ale finansują je znacznie skąpiej, niżby trzeba było, żeby rzeczywiście skutecznie ograniczyć eutrofizację.

Problem dodatkowo komplikuje fakt, że wprawdzie ograniczanie zrzutów azotu i fosforu dostarcza korzyści również lokalnym, krajowym ekosystemom (po drodze do morza), ale priorytety się nie pokrywają. Na przykład z punktu widzenia polskich interesów krajowych najpilniejsze jest oczyszczanie ścieków zrzucanych do dopływów górnej Wisły. Ochrona Dunajca jest korzystna oczywiście dla całego Bałtyku, ale przyczynia się do sukcesu tylko w niewielkim stopniu. Natomiast z punktu widzenia zaopatrzenia ludności w wodę i urody krajobrazu, ochrona Dunajca ma bardzo duże znaczenie. Gdyby więc rząd polski kierował się lokalnymi interesami, powinien interesować się przede wszystkim budową oczyszczalni na południu kraju. Natomiast "nutrienty" zrucane w górnych biegach rzek bywają częściowo retencjonowane po drodze, więc do morza dociera ich mniej. Z 12 ton azotu zruczonego do Dunajca do Bałtyku dotrą zapewne i tak tylko 4 tony. Gdyby ten zrzut ograniczyć o 75%, to do Bałtyku dotarłaby 1 tona. Innymi słowy, zrzut zmniejsza się o 9 ton, a w Bałtyku lądują tylko 3 tony mniej. Gdyby zaś analogiczny rachunek wykonać dla dolnej Wisły, powiedzmy dla Tczewa, skąd prawie cały ładunek dociera do Bałtyku, taka sama skala ograniczenia zrzutu (z 12 ton do 3 ton) skutkuje zmniejszeniem dopływu o całe 9 ton. A zatem z punktu widzenia ochrony Bałtyku, najważniejsze są oczyszczalnie zlokalizowane w dolnych biegach rzek.

Wszyscy sygnatariusze Konwencji Helsińskiej zdają sobie z tego sprawę. Wszyscy chronią ekosystemy wodne, ale czynią to przede wszystkim z myślą o swoich lokalnych korzyściach. O ochronie Bałtyku wiele się mówi, jednak praktyczne działania podejmowane są głównie w celu ochrony ekosystemów lądowych, a nie morza.